

## Szary gołąb

Każdego w dzieciństwie straszono czymś przerażającym. Mnie na przykład rodzice nigdy nie mówili "Bój się Boga!", bo nominalnie byli ateistami. Dziwna sprawa: ich Bóg jakby nie istniał, ale niewątpliwie był. Chociaż nazywał się inaczej - sumienie. Teraz rozumiem, że to synonim. Wtedy wyobrażałem sobie sumienie jako substancję płynną. Podobną do krwi, ale znacznie bardziej gęstą. Jak asfalt albo lepka żywica, która wyciekła ze starych wiśni.

Czymś nieznośnie straszonym było nie czuć w sobie tego niewidzialnego asfaltu. Mama mówiła: "Andriju, miejże sumienie!", i wystarczało zamknąć oczy, żeby poczuć, jak on się w żyłach pojawia.

Był marzec 1988 roku i podrostki z mojego podwórza łapały po coś gołębie. Zajęcie to wówczas wydawało mi się absurdalne, jak i wiele innych rzeczy wokół mnie. Zgraja głodnych ptaków wlatywała do wnętrza pojemnika "na produkty spożywcze", a wtedy trzeba było cichutko podejść i klapnąć z góry ciężką pokrywą. Potowa gołębi uciekała, ale kilka sztuk obowiązkowo trafiało w pułapkę. Potem pokrywę się uchylało, i przestraszone ptaki wciskały się wąskie szpary. I wtedy łapano je gołymi rękami.

Pewnego razu też wyszedłem na łowy. Pierwszy raz i ostatni. Do dzisiaj dobrze pamiętam zgnity zapach i swoje poranne senne odrętwienie. Do dzisiaj widzę, jak pokrywa wyslizguje mi się z rąk i niby gilotyna obcina głowę szaremu gołębiowi. Czuję, jak dudni krew w żyłach, powoli zmieniając się w lepka i gorącą substancję, która robi się ciemna, czarna, czarniejsza od nocy. Jak biegnę do domu z gołębiem w rękach, a jego głowa wisi na cienkich nitkach... Myślę tylko o jednym - jeśli go nie uratuję, to będzie to koniec. Boże, daj mi go uratować... Daj uratować moje sumienie...

W domu była mama. Nawlokła wielką igłę jedwabną nitką i wprawnie przyszyła głowę ptakowi.

Gołąb pomieszkał u nas kilka miesięcy na balkonie, odżył i poleciał.

*Przełożył Bohdan Zadura*